

Refleksje Profesora Romana Dudy o powojennych przemianach Wrocławia (PAUza 531), wywołały reakcję Profesora Eugeniusza Szumakowicza z Politechniki Krakowskiej. Wynikła stąd wymiana listów, poruszających ważne problemy współżycia sąsiedzkich narodów, obciążonych trudną historią. Postanowiliśmy – za zgodą Autorów – udostępnić je czytelnikom PAUzy, przypominając też – dla wygody – pierwotny tekst Profesora Dudy. Liczymy na dalsze refleksje i komentarze.

Redakcja

Fenomen polskiego Wrocławia

Mające długą historię miasto Wrocław/Breslau było w 1945 roku, mimo posiadania niewielkiej mniejszości polskiej, niemieckie i jako Festung Breslau bronilo się przez 3 miesiące przed nacierającą armią sowiecką aż do kapitulacji Niemiec. Kiedy konferencja poczdamska przyznała je Polsce w sierpniu 1945, było morzem ruin, w którym nadal przebywało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy Niemców i zaledwie kilka tysięcy napływających Polaków, miastem systematycznie rabowanym przez Sowietów i plądrowanym przez rodzimych szabrowników. O stosunkach wtedy panujących niech świadczy incydent: Bolesław Drobner, pierwszy prezydent miasta, poszedł w czerwcu 1945 roku do sowieckiego komendanta, żeby przerwać wywożenie fabryk, i został przez niego znieważony; poskarżył się wówczas Bierutowi, który zareagował błyskawicznie – odwołał Drobnera (po miesiącu sprawowania funkcji prezydenta).

Rabunek i szaber w końcu ustały, ostatnich Niemców wysiedlono i nastąpiła całkowita wymiana ludności. Legenda głosi, że Wrocław zasiedlili lwowianie. W istocie przybyszy z zabranego Polsce Lwowa było zaledwie kilka procent, ale były wśród nich dwie ważne grupy: profesorowie lwowskich uczelni, którzy tworząc polskie szkolnictwo, nadali miastu wysoką rangę, oraz tramwajarze, których kresowy zaśpiew słyszeli wszyscy. Ale wszyscy przybysze – z kresów, środkowej Polski i zza granicy (reemigranci) – to nowe miejsce osiedlenia z pionierskim zapałem odbudowywali i zagospodarowywali. Po niemieckiej przeszłości pozostało dzisiaj kilka wysokich gruzowisk na obrzeżach i mury nielicznych zabytków, pieczołowicie przez lata restaurowanych. Resztę wypełniła nowa tkanka, polska, której ważnymi elementami są przeniesione ze Lwowa Ossolineum i Muzeum Panoramy Racławickiej.

Ważniejsi od murów byli ludzie, bo to oni tworzyli środowisko i atmosferę. Przybyszom towarzyszyła atmosfera pionierska, ożywiana duchem poznawania i odbudowywania miasta, w którym zamierzali pozostać. Zasiedlano ruiny, które szybko rozkwitły kramami, warsztatami i sklepikami. Jednym z powojennych przybyszy była Maria Dąbrowska, ale była tylko parę lat, a kiedy przyjechała z wizytą w 1949 roku – nie poznała miasta. Wrocław zszarzał i znikła pierwotna przedsiębiorczość – komuniści właśnie wygrali swoją „bitwę o handel”.

Nie było więc łatwo, ale na przekór trudnościom nowi wrocławianie trwali. Kiedy zjechałem tu na studia w 1952 roku, matematyki uczyli mnie czterej pionierzy, którzy byli tu od początku. Hugo Steinhaus, który znał to miasto z przejazdów do Getyngi, gdzie jeszcze przed I wojną światową studiował, a lata międzywojenne spędził we Lwowie i razem ze Stefanem Banachem stworzył słynną lwowską szkołę matematyczną, teraz miasta nie poznawał, ale z całym przekonaniem twierdził, że Polska tu pozostanie. Bronisław Knaster, wybitny topolog warszawski, który całą II wojnę światową spędził we Lwowie i przez Kraków przyjechał do Wrocławia, gdzie w końcu osiadł. Najmłodszy z pionierów Edward Marczewski, wychowanek szkoły warszawskiej, który w latach wojny przewinął się przez Lwów, a po powstaniu warszawskim wraz z żoną trafił do Breslau jako więźniowie i tu przeżyli oblężenie; ostatni nadzorca obozowy Marczewskiego został po kapitulacji jego pracownikiem i na taczkach zwoził ocalałe książki matematyczne, tworząc załazek bogactwa dzisiejszej biblioteki Instytutu Matematycznego Uniwersytetu Wro-

clawskiego. I najstarszy z nich Władysław Ślebodziński, który ze Lwowem nie miał nic wspólnego, a czas wojny spędził w Oświęcimiu i jeszcze w obozie przyrzekł sobie, że po wojnie zostanie profesorem w polskim Wrocławiu; to go podtrzymało na duchu, i słowa dotrzymał. Te cztery osoby stworzyły wrocławskie środowisko matematyczne, swoimi wynikami sprawiając, że matematyka wrocławska szybko zyskała rangę międzynarodową i przyciągała młodych adeptów. Zapoczątkowali tradycję, a ooliczność, że pozostali tu do końca swoich żywotów, sprawiła, że tradycja ta zakorzeniła się tutaj i wciąż jest żywa. Włączeni w tę tradycję czujemy się u siebie.

Na moim roczniku studenckim byli sybiracy, których rodziny, wywiezione przez Sowietów na początku wojny z kresów, teraz wracały do kraju i szukały nowego miejsca osiedlenia. Był zdemobilizowany żołnierz II Armii WP, który walczył pod Dreznem. Był chromy młody mężczyzna, postrzelony przez upojonego zwycięstwem krasnoarmiejca. Były dwie Żydówki, które potem wyjechały do Izraela. Było kilku Ślązaków i spolonizowany Niemiec z Bytomia. I było wielu innych. Wszyscy znaleźliśmy tu środowisko i entuzjazm pionierów, który i nas pociągnął i wciągnął.

Domów studenckich niemal nie było, toteż mieszkaliśmy na stancjach, raz u Ślązaków, a poza tym u kresowych rodzin (jedna z lwowianek jeszcze w latach 50. miała nierozpakowane walizki, bo wierzyła w powrót). Były jeszcze kartki, ale były też tanie bary mleczne. Polskich książek było mało, ale dostępne były niedrogie i dobre książki rosyjskie, oryginalne i przekłady, z nich więc poznawaliśmy nową matematykę. I był entuzjazm młodości, który nie bał się żadnych przeszkód.

Od początku aktywnie działało Polskie Towarzystwo Matematyczne (Oddział Wrocławski powstał jeszcze w 1945 roku) i już w roku 1946 zorganizowało we Wrocławiu pierwszy po wojnie Zjazd Matematyków Polskich, rok później założono szeroko dziś znane czasopismo matematyczne „Colloquium Mathematicum”, powstał Oddział Instytutu Matematycznego PAN. Żywe seminaria z teorii miary (Marczewski), topologii (Knaster), geometrii różniczkowej (Ślebodziński) i zastosowań matematyki (Steinhaus), a potem i inne, przynosiły nowe wyniki i przy nazwiskach autorów prac matematycznych coraz częściej pojawiało się miasto Wrocław (Marczewski był dumny, że był pierwszy, bo jeszcze z datą 1945). Pionierzy obrastali w uczniów, a potem ci uczniowie dorastali i miewali swoich uczniów. Środowisko rosło.

W mojej pamięci szczególnie utrwalił się rok 1978 z pierwszą pielgrzymką Papieża Polaka, witanego przez wielotysięczne tłumy, rok 1980, kiedy Wrocław zastrajkował i zrodził silny region „Solidarności”, i rok 1997, kiedy Wrocław nawiedziła potężna powódź. Wiele budynków uniwersyteckich znajduje się nad Odrą, ale woda z kanałów burzowych zalała też wtedy oddaloną od rzeki bibliotekę uniwersytecką. Jako ówczesny rektor zwróciłem się do wrocławian z apelem o pomoc i odzew był serdeczny i natychmiastowy. Ludzie bronili przed wodą swojego miasta, a w nim swojego uniwersytetu. Po roku 1989 miasto wyłoniło silny samorząd, wypiękniło i nawet było przez rok Europejską Stolicą Kultury. Jest znane z gościnności i otwartości.

Od roku 1945, kiedy 15 listopada odbyły się pierwsze polskie wykłady na wrocławskim uniwersytecie i politechnice, mija 75 lat. I nie ma wątpliwości: Wrocław jest polski.

ROMAN DUDA

Uniwersytet Wrocławski



► Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Profesora Romana Dudy o polskim i akademickim Wrocławiu w numerze 531 „PAUzy Akademickiej”. Nasuwa mi się pewna refleksja filozoficzno-kulturowa. Czy nie przydałoby się w naszym szerszym kontekście europejskim jakaś synteza polskiego wkładu w historię i kulturę Wrocławia z tym, co było wcześniej, z odpowiednio wybranymi wątkami. Przed II wojną na wrocławskim Uniwersytecie wykładali nobliści.

Między innymi wielki fizyk, jeden z głównych twórców mechaniki kwantowej – Werner Heisenberg. Nasuwa mi się idea, żeby jedna z ulic dzisiejszego Wrocławia nosiła imię Heisenberga. Może tego typu gesty doprowadziłyby do tego, że nawet Niemcy, mówiąc o mieście i jego naukowo-kulturowym dorobku, w jednym ciągu będą wymieniać uczonych obu narodów? Wydaje mi się, że jest szansa na tego rodzaju pozytywny stan rzeczy.

Z poważaniem

EUGENIUSZ SZUMAKOWICZ

Fenomen polskiego Wrocławia – trochę inaczej

Pytanie Profesora Eugeniusza Szumakowicza, który upomina się o „syntezę polskiego wkładu w historię i kulturę Wrocławia” – jest ważne. Odpowiem jako wrocławianin – przybyły tu po wojnie i dożywający w tym mieście swoich dni.

Bezpośrednio po wojnie bardzo żywa wśród Polaków była pamięć o niemieckich zbrodniach i okrucieństwach, a w konsekwencji silne nastroje antyniemieckie, podsycane przez prasę przypominaniem rewizjonistycznych nastrojów w RFN – co skutkowało spontanicznym niszczeniem we Wrocławiu śladów niemieczyny, w tym pomników i cmentarzy. Z przeszłości przypomniano słowiańskie początki, a po Piastach w naszej wiedzy o przeszłości miasta ziała V-wiekowa dziura. Na zmianę trzeba było czekać całe pokolenie, a jej kamieniami milowymi było orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r. z apelem o pojednanie (co wówczas wywołało jeszcze spory opór społeczny, nie tylko ataki propagandy), strajk solidarnościowy z lata 1980 r., który zjednoczył ludzi i dał miastu poczucie siły, oraz szeroka fala pomocy, która napłynęła z Niemiec po wprowadzeniu stanu wojennego. Nastroje ewoluowały, a zmiany polityczne po 1989 r., w tym uznanie naszej zachodniej granicy przez zjednoczone Niemcy i msza pojednania w Krzyżowej z udziałem Mazowieckiego i Kohla potwierdziły niemal całkowite ich odwrócenie. Uniwersytet Wrocławski już wcześniej nawiązywał do powstałego tu w 1502 r. kolegium jezuickiego, przekształconego w 1811 r. na pruski uniwersytet państwowy, w gmachu głównym pojawiła się tablica upamiętniająca 11 noblistów wywodzących się z niemieckiego uniwersytetu, zawiązało się i aktywnie do dzisiaj działa Niemiecko-Polskie Towarzystwo Uniwersytetu Wrocławskiego. Kiedy w roku 2002 Uniwersytet Wrocławski obchodził swój jubileusz, to wśród gości był prezydent Niemiec Johannes Rau. Potem odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa, której pokłosiem było wielotomowe wydawnictwo pokazujące dorobek naukowy Wrocławia, w tym oczywiście także z czasów niemieckich (uniwersytet niemiecki był dobry, ale polski dorobek ostatnich 75 lat wytrzymuje porównanie). W ten nurt wpisała się książka brytyjskich historyków Normana Daviesa i Rogera Moorhouse'a *Mikrokosmos. Portret miasta środkowo-europejskiego. Vratislavia. Breslau. Wrocław* (2002), dająca obraz tysiącletnich dziejów wielokulturowego miasta, oraz książka niemieckiego historyka Gregora Thuma *Obce miasto. Wrocław 1945 i potem* (2005), opisująca proces przekształcania się niemieckiego miasta na polskie. Dzisiaj bez kompleksów czujemy się we Wrocławiu częścią tysiącletniej przeszłości i jesteśmy otwarci na Europę, czego świadectwem była nominacja Wrocławia na Europejską Stolicę Kultury w 2016 r. I oczywiście niektórzy niemieccy uczeni, w tym Max Born i Wilhelm Roentgen, mają w nim swoje place lub ulice.

Problem pogodzenia przeszłości z nowymi realiami etnicznymi jest szerszy. Jestem kresowianinem i moje dzieciństwo biegło w cieniu Lwowa i Uniwersytetu Jana Kazimierza (mój stryj był asystentem Stanisława Kulczyńskiego, a potem nauczycielem w krzemienieckim Liceum). Rodzinne strony i Lwów mogłem jednak odwiedzić dopiero 46 lat po wysiedleniu, ale potem często tam bywałem. Mam tam przyjaciół, a pamięć o polskiej przeszłości miasta jest żywa. Od 1940 r. Uniwersytet Lwowski nosi imię Iwana Franki, ale nawiązuje do roku 1661, kiedy Jan Kazimierz podniósł tamtejsze kolegium jezuickie do rangi akademii, zaczynając w ten sposób tradycję uniwersytecką. Matematycy lwowscy regularnie organizują międzynarodowe konferencje poświęcone Stefanowi Banachowi, wybitnemu polskiemu matematykowi, który tam studiował, żył i umarł, a jego grób na Cmentarzu Łyczakowskim jest zadbane, odnowiona też została słynna kawiarnia Szkocka. Inaczej sytuacja przedstawia się w Wilnie, gdzie międzywojenny Uniwersytet Stefana Batorego w krótkim czasie wyrósł wtedy na znaczący ośrodek naukowy (zwłaszcza w matematyce). Współczesny Uniwersytet Wileński nawiązuje do tradycji Akademii Wileńskiej (powstała w 1578 r. w rezultacie podniesienia przez Stefana Batorego kolegium jezuickiego do rangi akademii), ale o jej latach międzywojennych nie wie (mój odczyt na ten temat w 2012 r. był dla słuchaczy kompletną nowością). Jeszcze inaczej sytuacja wygląda w Kaliningradzie, gdzie po wojnie Rosjanie uruchomili swój uniwersytet. Kiedy tam byłem w 2004 r., spotkałem grupę starszych studentów i jedna ze studentek powiedziała mi o swoim zaskoczeniu, gdy w czasie pobytu w Lublinie dowiedziała się od Polaków, że uniwersytet w Królewcu istniał od 1544 r. Podobno teraz sytuacja się tam zmieniła.

Profesor Szumakowicz poruszył ważny problem kulturowy, od pogodzenia bowiem różnych tradycji zależy kształt naszej przyszłości.

ROMAN DUDA

List Profesora Dudy jest bardzo bogaty. Kresowe treści są mi pochodzeniowo bliskie. Wspomnę tylko o kawiarni Szkockiej. Co prawda została fizycznie odtworzona, ale brak jej ducha. Tego ducha można by przywrócić, organizując (naukowcy ukraińscy dzisiaj) międzynarodowe konferencje czy sympozja właśnie w tej kawiarni lub w pobliżu (jest niedaleko zaplecze hotelowe). Około 10 lat temu, wykorzystując spotkanie z pewnym ukraińskim profesorem, który odwiedził Politechnikę, próbowałem coś w tym kierunku zrobić. Uwagam, że ta idea zasługuje, ze względu choćby na Banacha, na pod-

trzymywanie. No i wspomniany przez Profesora Dudę Kaliningrad – Królewiec, miasto wielkiego filozofa Immanuela Kanta – „Kopernika filozofii”. Kraków jest miastem studiów „Kopernika astronomii” i opierając się na tym skojarzeniu, próbowałem, też nie tak dawno, pobudzić pewne podmioty do stworzenia adekwatnego Centrum Debat Interdyscyplinarnych. Inicjatywa zahaczyła o... Konsulat Federacji Rosyjskiej w Krakowie (sic!). Panu Profesorowi Dudzie należy życzyć stu lat (dosłownie!), gdyż jest idealną osobą podtrzymującą omawiany wymiar współdziałania kulturotwórczego.

Pozdrawiam

EUGENIUSZ SZUMAKOWICZ